Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

Nr. 5 **WARSZAWA, MAJ 1936 R.** **ROK XI**

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul. Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji —Leszno 20. Tel.11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł. 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3. Pojedyńczy numer 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł.; strony 2-ej 100 zł.; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 12 423

TREŚĆ NUMERU

1. *Ks. Ludwik Zaunar* — Przed nami Synod. Wstępny. . . 53
2. *R.* — 10-lecie prezydentury Pana Prezydenta Prof. Doktora Ignacego Mościckiego . 55
3. *Konstancja z Grużewskich Krupska* — Marja i Marta (wiersz) 56
4. *Wojciech Wrzos* — Jak małopolscy kalwini organiz. swój Kościół 56
5. *R.* — Nowe czasopismo kościelne . . 58
6. -- Ewangelja jest mocą Bożą 59
7. *Leon Rygier* — Ku anielstwu ducha 61
8. *Wojciech Wrzos* — Kilka wrażeń (dokończenie) . . . 66
9. *Ks. L. Zaunar* — Echo „Odgłosów Konferencji Wileńskiej" 67
10. Komunikat Zjednoczenia Chrześcijan Ewangelickich w Polsce . 68
11. Ofiary. Porządek nabożeństw (okładka).

Nr. 5 WARSZAWA, MAJ ROK XI

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: Leszno 20

KS. LUDWIK ZAUNAR

Przed nami synod

II Księga Mojżeszowa r. 14 w. 15 „I rzekł Pan do Mojżesza: Cóż wołasz do mnie? Mów do synów Izraela, aby ciągnęli".

Gdy myślimy o bliskim już Synodzie tegorocznym, mimowoli ciśnie się nam pytanie na usta: z czem właściwie przyjdziemy na Synod i co z siebie dać możemy, aby zakończyć obrady z tem przeświadczeniem, że były one momentem i ważnym i pożytecznym dla naszego kościelnego życia, że w ich wyniku nabierze ono żywszego tętna i odsłoni nam perspektywy ku przyszłości lepszej i jaśniejszej dla Kościoła naszego. Niewątpliwie myśląc o Synodzie pomyślimy sobie, że właściwie biorąc mamy tyle różnych a pilnych potrzeb a tak mało możliwości i środków, by im sprostać, że trudno oczekiwać, by nasze wysiłki na coś się zdały, by nie pogłębiały w nas przeświadczenia, tak niestety dziś w naszym gronie pospolitego, że „jakoś tam będzie", lub też że ostatecznie nas te sprawy tak znów bardzo nie obchodzą, że są od nich duchowni, władze kościelne czy zborowe. A przecież w naszym ustroju kościelnym Synod ma być kulminacyjnym momentem kościelnego życia za pewien określony czas, a jednocześnie źródłem nowej energji, nowej inicjatywy na dalsze dni, i dopiero, gdy taką rolę odgrywa i takie znaczenie posiada w Kościele, można twierdzić, że jest on czynnikiem potrzebnym i koniecznym. Jeśli tak nie jest, to jest to niezbitym dowodem, że życie kościelne nie stoi na właściwym poziomie, że jego przebieg cechuje nie parcie naprzód ku przyszłości, ale raczej uwiąd, który rokuje zanik i upadek. Zdaję sobie całokowicie sprawę, że niełatwo jest w naszych warunkach sprostać tym wszystkim brakom, na które ogólnie i powszechnie narzekamy. Nie zapominam ani na chwilę, że nas dławi bieda materjalna, że nam często ręce opadają wobec niemożności zaspokojenia najbardziej uzasadnionych i pilnych potrzeb codziennego życia, że żyjemy w atmosferze trudnej i niesprzyjającej, jeśli chodzi o walor spraw duchowych i kościelnych w całokształcie przeciętnego ludzkiego życia powszedniego, że jest tyle a tyle ważkich argumentów, które nasze braki jasno tłomaczą i poniekąd usprawiedliwić mogą. Ale mimo to zdaje mi się, że stan nasz byłby przy

wszystkich trudnościach naszych czasów o wiele lepszy i nasze narzekania znacznie słabsze, gdybyśmy mieli w swych sercach w stosunku do naszego Kościoła więcej z tego ducha, na który wskazał Izraelowi przez Mojżesza Bóg w chwili, gdy Izrael znajdował się w sytuacji zgoła tragicznej i jak się zdawało wręcz beznadziejnej. Pomyślmy sobie tylko, jak zachowalibyśmy się my w tej sytuacji: przed nami morze, jako zapora nieprzebyta, a za nami wróg, który grozi śmiercią, a w najlepszym razie ciężką i hańbiącą niewolą. I w takiej to sytuacji, Bóg przemawia do Izraela nie słowem pocieszenia, ale surowym i kategorycznym nakazem: powiedz Izraelowi, mówi Bóg do Mojżesza, aby ciągnął dalej. Ma to znaczyć, że nie powinien się lękać morza, ani pościgu wroga, nie powinien narzekać czy los swój opłakiwać, ale ma Bogu ufać, a z tej ufności wyciągnąć odpowiednie wnioski dla swego postępowania. Wniosek ten jest jedyny: trzeba iść naprzód za każdą cenę, trzeba mieć przekonanie, że to parcie naprzód nie jest jakimś bezmyślnym aktem rozpaczy, czy odruchem tępej rezygnacji, czy wreszcie obojętnym wzruszeniem ramion tam, gdzie i tak się nic nie stworzy dobrego, ale że jest ono świadomym aktem woli, mającej i swoje źródło i swoje oparcie w mocy Bożej tak wielkiej, że wobec niej maleje każda przeszkoda i nie może się jej oprzeć żadna trudność. Dlatego to Bóg daje swój kategoryczny nakaz: powiedz im, aby ciągnęli.

Oczywiście tego rodzaju nastawienie wobec Boga i Jego woli żąda od nas wyznających Go zrozumienia, że jest to sprawa święta i zasadnicza dla każdego człowieka, że trzeba w nią wtożyć całe serce i nie lękać się wysiłku, choćby nawet był on poważnym i ciężkim. Tylko bowiem wtedy zdobywa się człowiek i jest zdolnym zdobyć się na czyn, który w innych warunkach wydawałby się niemożliwością czy wręcz szaleństwem. Tylko to zrozumienie tłomaczy nam wielkość i możliwość tych momentów przeszłości Kościoła chrześcijańskiego, na które z perspektywy czasu patrzymy ze czcią, podziwem i uwielbieniem, aczkolwiek miały one miejsce w różnych warunkach i obejmowały różnych ludzi. A przecież warunki te nigdy nie były łatwymi, a to co w nich pozostało jako dorobek wieczny, piękny i niezniszczalny, to było zawsze owocem wielkiego wysiłku, świadomości, że Bóg każe człowiekowi zawsze, aby ciągnął naprzód i wierzył, że to jest jego właściwa droga i właściwy sens tutaj na ziemi.

Gdy myślę o naszych warunkach, a w nich specjalnie o naszych Synodach, to zdaje mi się, że ich zasadniczym brakiem jest brak świadomości, że sprawy Boże dla nas wszędzie i zawsze muszą być świętemi, a stąd brak zrozumienia dla tych wielkich darów, które Bóg dał każdemu z nas, a które w nas drzemią pod pyłem naszej ludzkiej słabości, naszej obojętności, naszej niewiary. Przechodzimy z nią na Synody, wnosimy jej atmosferę do ich obrad, przepajamy sami siebie i swoje serca jej destrukcyjnym działaniem, a w konsekwencji mamy słabość, mamy niemoc, mamy narzekania i biadania. Czy nie powiedziałby nam Bóg dzisiaj na nasze biadania i narzekania, na bezradne rozkładanie rąk lub obojętne wzruszanie ramion: czegoż wołacie do mnie, ciągnijcie naprzód. To znaczy weźcie się do rzetelnej pracy, pokażcie czynem i to nie sporadycznym, ale stałym, że wam sprawa Kościoła jest drogą i waszą, że rozumiecie, iż wysiłek dla niego, to praca, jaką sobie samym przynosicie, że w niej Ja, Bóg wasz, którego wszak wyznajecie, jestem z wami tak samo, jak byłem z waszymi ojcami w ich znojach i trudach.

Tego nastawienia potrzeba nam dzisiaj niewątpliwie i to może w znacznie większej mierze, niż kiedykolwiek, właśnie dlatego, że nam tak trudno, tak ciężko. Mówi się, że każdy napór wywołuje i wywołać musi reakcję: czy my naprawdę nie jesteśmy zdolni zdobyć się na właściwą reakcję wobec naszej biedy duchowej, za którą konsekwentnie musi iść bieda materjalna? Czy nas nie stać na to? Czyśmy już tak dalece zanikający, że nawet potrzeby tej reakcji organizmu zdrowego zasadniczo, choć osłabionego niemocą, nie rozumiemy? Nie wierzę w to. Wierzę natomiast, że w nas jest dużo niedbalstwa, dużo lenistwa duchowego, dużo niezrozumienia i często niechęci do serdecznego podejścia do spraw, do których się formalnie przyznajemy i to w razie jakiejś dla nas aktualnej doraźnej potrzeby. I wierzę, że im więcej będzie wśród nas jednostek, które z tym stanem rzeczy podejmą walkę, tem lepszą służbę okażemy swemu Kościołowi, tem lepiej spełnimy nasz obowiązek na Synodzie i w życiu naszem kościelnem. Obyśmy nie zapominali o tem, że i dziś woła do nas Bóg nasz w obliczu naszych trudności: powiedz im, aby ciągnęli.

Administracja „JEDNOTY“ uprasza Szan. Prenumeratorów i Czytelników o wpłacenie zaległej prenumeraty.

10-lecie prezydentury Pana Prezydenta Profesora Doktora Ignacego Mościckiego

W dniu 3 czerwca r. b. cała Polska obchodzić będzie rzadką uroczystość, a mianowicie 10-letnią rocznicę sprawowania wysokiego urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przez Pana Prezydenta Profesora Doktora Ignacego Mościckiego. Jubileusz taki jest wogóle rzeczą rzadką w życiu państw, które swe istnienie polityczne mają nieprzerwane i uregulowane od pokoleń. Tembardziej jest to więc jubileusz rzadki i znamienny w naszem obecnem istnieniu państwowo-politycznem i jest on dlatego wymownym dowodem wielkiej wartości osobistej człowieka, który w trudnych i ciężkich warunkach, jakie przypadły w udziale państwu naszemu w jego powojennych okolicznościach, zdołał i umiał swe wielkie i odpowiedzialne zadanie spełniać przez tak długi okres czasu i pozyskać sobie serca obywateli oraz uznanie tak swoich jak i obcych. A tak jest niewątpliwie jeśli mowa o Panu Prezydencie Profesorze Doktorze Ignacym Mościckim, który na swój wysoki urząd wniósł wszystkie cnoty serca, umysłu i charakteru, tak ważne i potrzebne człowiekowi, który ma być głową nowoczesnego państwa, a szczególnie w tak trudnych warunkach, jak nasze. Wielki dorobek tych wartości, jako dorobek moralny i twórczy wniósł Profesor Doktór Ignacy Mościcki, kiedy w czerwcu 1926 roku wstępował na zamek jako Prezydent Rzeczypospolitej. Na nich oparty rozwiązywał niejednokrotnie trudności i zawikłania polityczne, a w trosce o stan materjalny kraju poświęcał baczną uwagę zagadnieniom gospodarczym i ekonomicznym. Nie zapominał też sprawy rozwoju kulturalnego naszego społeczeństwa, sam będąc przedstawicielem kultury ducha pojętej wysoko, nadając kierunek wychowaniu pokolenia współczesnego w sposób realny i aktywny. I w tym kierunku idzie Pan Prezydent konsekwentnie i niezłomnie po dzień dzisiejszy.

Gdy więc obecnie mamy uczcić Go po etapie pracy zaiste wielkiej, pożytecznej i ofiarnej, jaką Ojczyźnie naszej na swym wysokim urzędzie oddaje, możemy i powinniśmy to czynić w zrozumieniu, że umiemy cenić wartość człowieka i dorobek jego pracy, a w stosunku do Pana Prezydenta Mościckiego spłacamy jako jego współobywatele jedynie dług wdzięczności i uznania, na które niewątpliwie i to hojnie sobie zasłużył. Wyraz też tym naszym uczuciom daje inicjatywa Komitetu Uczczenia 10-lecia urzędowania Pana Prezydenta Rzplitej I. Mościckiego, nawołująca cały nasz naród do godnego wystąpienia w dniu 3 czerwca r. b. tak, by Dostojny Jubilat mógł sam stwierdzić, że praca Jego nie idzie na marne, że jest doceniana i przyjmowana, jako pożyteczna i dobra, by w tem przeświadczeniu mógł czerpać siły do dalszych prac po lata długie dla pomyślności i rozwoju naszego państwa, naszej Ojczyzny.

Odezwa ta ma brzmienie następujące:

W czerwcu 1926 r. profesor Ignacy Mościcki został Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej.

Dwukrotnie — z woli Zgromadzenia Narodowego — za dobrą radą i zgodnie z życzeniem Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego — profesor Ignacy Mościcki objął najwyższy urząd w Państwie, poświęcając wielkości obowiązku nawet najbardziej osobiste umiłowania.

Od dziesięciu lat przewodzi Polsce Człowiek, dla którego wolna i niepodległa Ojczyzna była i jest celem wysiłku całego życia, który od zarania młodości sercem i czynem przystał do najściślejszego grona bojowników o niepodległość Polski, wiążąc trwale swoje imię i losy z ideą i pracami Józefa Piłsudskiego. Wieloletnia praca twórcza, na każdem polu działalności Ignacego Mościckiego, Jego szlachetność, skromność osobista, umiłowanie prawdy, piękna i dobra sprawiły, że właśnie Ignacy Mościcki, pracując wśród ludzi z myślą o ludziach, obrany został przez naród polski na swego przewodnika.

Każdy rok rządów Ignacego Mościckiego mnożył wymienione wartości.

Mądra polityka zagraniczna, dająca Polsce znaczenie w rodzinie narodów, wybitna działalność na polu gospodarczem, zapisana takiemi czynami, jak Chorzów, Mościce, Gdynia, Instytut Chemiczny, oraz nieprzemijające dzieła z zakresu utrwalania elementów obrony narodowej, związały się trwale z postacią Ignacego Mościckiego.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej jest dla nas ostoją w chwilach ciężkich, jest dla nas uosobieniem tych cnót obywatelskich, jakie cechować winny naród wolny, pracowity i silny.

Dlatego też, w dniu 3 czerwca 1936 r. cały kraj winien dać wyraz uczuciom, jakie żywi dla Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej i złożyć hołd temu, który swym przykładem uczył, jak żyć i pracować dla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej należy.

Podpisani, inicjując uroczystości jubileuszowe w dn. 3 czerwca 1936 r., zwracają się do całego społeczeństwa polskiego z wezwaniem do podjęcia odpowiedniej akcji we wszystkich ośrodkach Państwa.

Odezwę podpisali:

Przewodniczący Komitetu — gen. dyw. Edward Śmigły-Rydz, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych.

Członkowie prezydjum Komitetu: J. Em. ks. kardynał Kakowski, Marszałkowa Aleksandra Piłsudska, gen. dyw. Felicjan Sławoj-Składkow-

ski, prezes Rady Ministrów, Aleksander Prystor, marszałek Senatu, Stanisław Car, marszałek Sejmu, dr. Stanisław Wróblewski, prezes Polskiej Akademji Umiejętności.

Łącząc się z całem społeczeństwem w uznaniu zasług i pracy Pana Prezydenta Profesora Doktora Ignacego Mościckiego prosimy Pana Zastępów, aby Mu nadal błogosławić raczył i darzył Go darami ducha i ciała tak, by ta dalsza praca była równie pożyteczną i twórczą, jak praca ubiegłych lat dziesięciu.

Łącząc się w tej prośbie przed obliczem Bożem wzywamy wszystkich naszych zborowników do przybycia na uroczyste nabożeństwo dziękczynne ku czci Pana Prezydenta w środę dnia 3 czerwca na godzinę 9 do naszego kościoła.

KONSTANCJA z Grużewskich KRUPSKA

Marja i Marta

Zmęczona pracą, z twarzą pełną troski,
szła skrzętna Marta w ogród, gdzie pod drzewem,
siedział i kazał Nauczyciel Boski, —
u stóp Swych Marję mając, zasłuchaną — —
Z czcią wielką, lecz i z ukrywanym gniewem,
prosiła, słowa zwracając ku Panu:
„Panie! Ty nie dbasz, że mię w ciężkiej pracy
mej siostra moja samą zostawiła!
Całe dnie w trudzie nieustannym tracę...
Rzecz-że jej, aby mi pomogła, Panie!
Jej każda praca jest dziwnie niemiła...
mnie zaś już samej sił czasem nie stanie".
A Jezus ku niej skierował wejrzenie —
odpowiadając, rzekł jej: „Marto! Marto!
Troszczysz się wiele o swe ziemskie mienie!...
Około wielu kłopoczesz się rzeczy —
aleć o jedno kłopotać się warto!
Jednego trzeba istocie człowieczej...
Lecz dobrą cząstkę Maryja obrała,
która też od niej odjętą nie będzie"!
I zajaśniała twarz Boskiego Sędzi...
A wielka cisza w ogrodzie się stała...

WOJCIECH WRZOS

Jak małopolscy kalwini organizowali swój Kościół

((d. c.).

Pierwszy projekt organizacji dał Stankar, lecz projekt jego nie znalazł wielu zwolenników wśród Małopolan. Obawiali się oni, zresztą całkiem słusznie, że przez przyjęcie go ściągną na siebie zarzut Stankarowej herezji. (Ten bowiem, bawiąc w Królewcu, zaplątał się w teologiczny spór z Andrzejem Osiandrem o pośrednictwo Jezusa Chrystusa w dziele zbawienia, głosząc, że Jezus był pośrednikiem zbawienia tylko pod względem swej ludzkiej natury, jako wzór i przykład do naśladowania — oczywiście, tem samem Stankar przekreślał ogólnochrześcijańską naukę o zbawieniu). Małopolanie gromadzą się tedy w r. 1554 w Słomnikach, aby tam wspólnie omówić sprawę organizacji swojego Kościoła. Na tym pierwszym synodzie małopolskich inowierców z natury rzeczy wszystkie zainteresowania skupiły się wyłącznie koło tej sprawy. Naogół wszyscy Małopolanie byli zdania, że aby zadośćuczynić tej potrzebie, należy zwrócić się do jakiegokolwiek istniejącego już w Polsce protestanckiego Kościoła, któryby wziął pod swą opiekę powstający ich Kościół, i nadał mu odpowiednią organizację. Małopolanom poprostu brakło inicjatywy i wiary w swoje własne siły, oglądali się przeto za obcymi wzorami. W rachubę wchodziły tu przedewszystkiem wielkopolskie zbory Braci Czeskich, które rozwijały się nader pomyślnie i rokowały nadzieję, że ich organizacja zapewni również podobną przyszłość małopolskim kalwińskim zborom. Nic więc dziwnego, że, gdy niektórzy z obradujących proponowali zbliżyć się do Braci, synod skwapliwie przyjął ten wniosek, i postanowił przyjąć nietylko organizację Braci, ale nawet ich naukę, zbliżoną do nauki reformowanej [1]) W nawiązaniu stosunków z Czechami pośredniczyć

1) Patrz „Jednota", październik, 1935.

mieli dwaj wybitniejsi małopolscy inowiercy: Hieronim Filipowski i Feliks Krucygier. Ten ostatni znał już Braci z czasów swego pobytu w Wielkopolsce. Za jego też pośrednictwem zjawiło się w Małopolsce kilku czeskobraterskich księży [2]). W rozmowie z nimi udało się Krucygierowi skłonić Braci do przybycia na wspólny zjazd. Zjazd ten jednak był nieliczny. Ze strony Czechów przybyli Jerzy Izrael[3]) i Jan Rokita, ze strony Małopolan oprócz Krucygiera był tylko Aleksander Witrelin i Marcin Krowicki, który niedawno był porzucił sukienkę duchowną, i pojął córę szlachecką za żonę [4]). Czesi nie odciągali się od unji z Małopolanami, ale jako trzeźwiejsi radzili, aby Małopolanie wprzódy sami zajęli się bliżej tą sprawą, i przedłożyli im już gotowe projekty i warunki, na jakich pragną zawrzeć unję z Czechami.

W ślad za tym zjazdem odbył się niebawem drugi, tym razem w Wielkopolsce w Gołuchowie u Rafała Leszczyńskiego, wojewody brzeskiego. Ale i ten zjazd nie dał narazie realnych wyników. Uczestnicy jego po srogich dysputach na temat stosunku wiary do pokuty „roziachali sie w pokoiu y w miłości krześciańskiey, zaleciwszy się iedni drugim w modlitwy święte".

Tymczasem Feliks Krucygier wystosował do Starszych na Morawie pismo z wezwaniem do unji. Pismo to nie przeszło bez echa. Wkrótce potem Bracia posłali do Koźminka w województwie kaliskiem swych delegatów w osobach Jana Czarnego (Czerny) i Macieja Rybaka. Ze strony Małopolan przybyli do Koźminka Stanisław Lasocki, podkomorzy łęczycki, Hieronim Filipowski i Andrzej Trzecieski, a z duchownych ks. Feliks Krucygier, minister w Secyminie i senjor zborów małopolskich, ks. Stanisław Lutomirski, pleban w Koninie, ks. Grzegorz Pauli, minister w Pełsznicy, ks. Marcin Krowicki, minister w Włodzisławiu, ks. Aleksander Witrelin, ks. Andrzej Prażmowski, były katolicki proboszcz kościoła św. Jana w Poznaniu, senjor zborów helweckich na Kujawach i minister w Radziejowie, oraz ks. Wawrzyniec Discordia Prażnicki z Przasnysza. Oprócz wymienionych było wielu duchownych czeskobraterskich, oraz szlachty i panów wielkopolskich, a nawet delegaci pruskiego księcia lennego Albrechta. Delegat małopolski Filipowski po odczytaniu projektu unji wręcz zgromadzonym oświadczył, że Małopolanie pragną zawrzeć z Czechami całkowitą unję kościelną i przyjąć nietylko ich organizację, ale nawet naukę i zewnętrzne obrzędy. Oczywiście na takie warunki Czesi przystać nie mogli, tembardziej, że wśród samych Małopolan nie widzieli jedności. Zbory małopolskie różniły się zarówno w nauce jak i w zewnętrznych formach liturgicznych. Pozatem wątpliwą było rzeczą, czy lud małopolski był dostatecznie przygotowany do nagłej zmiany swych religijnych pojęć i zwyczajów, jakaby z unją nastała. Czesi obawiali się, że nie wszyscy Małopolanie jednakowo odniosą się do unji z nimi, i zamiast zgody zapanuje wśród nich jeszcze większe rozerwanie. Kiedy jednak Małopolanie nie przestali na Czechów nalegać, ci po długich debatach ustąpili i unję zawarto. Zaraz następnego roku (1556) stosownie do życzenia Małopolan Czesi posyłają im swoje księgi liturgiczne i swoich duchownych Macieja Czervenkę i Jerzego Izraela.

Słusznie jednak przewidywali Bracia, że unja, na takich warunkach i w takich okolicznościach zawarta, znajdzie wśród samych Małopolan wielu przeciwników. Małopolanie sądzili jednak, że przez zawarcie tej unji będzie im łatwiej dojść do jedności na własnym gruncie, zapomnieli jed-

---

2) Przedwstępna ta rozmowa z Braćmi odbyła się w majątku Filipowskiego w Chrzczęcicach dnia 24 maja 1555.

3) O Izraelu ciekawą dysertację doktorską napisał pastor Richard Kruske: Georg Israel, erster Senior u. Pastor der Unitaet in Grosspolen, Breslau, 1894, stron 67. Praca ta o tyle jest ciekawsza niż prace Łukaszewicza i Gindely'ego, że autor czerpie do niej materjał z nowszych już publikacyj, oraz z archiwów w Herrnhucie, Wrocławiu i Poznaniu.

4) W czasach Reformacji wypadki takie zdarzały się dość często. Za przykładem Krowickiego wielu księży bądź całkowicie zrywało z Kościołem, i zawiesiwszy sukienkę duchowną na kołku jawnie spieszyli w progi Hymenu, jak np. ks. Walenty, rektor chrzczonowski, bądź też, jak ks. Stanisław Orzechowski, nie zrywając z Kościołem jawnie lub tajemnie żony pojmowali, nie zrzuciwszy nawet sukni duchownej, za co Rzym niezawsze bardzo się gniewał. Że np. genjalny kpiarz, Orzechowski, ciętem piórem „heretykom" za skórę dużo sadła nalał, niemało im dobrej krwi inkaustem napsuwszy, to i sam ojciec święty na jego małżeństwo przez palce patrzał. Zresztą Rzymowi z zaprowadzaniem celibatu duchowieństwa w Polsce zawsze szło niesporo, tembardziej, że Kościół w Polsce aż do r. 1100 zachował całkowitą niezależność od stolicy apostolskiej. Dopiero za czasów Bolesława Krzywoustego (1102—1138) bawi w Polsce legat papieski Valo, lecz napróżno usiłuje narzucić polskiemu duchowieństwu wskazania papieskie. Także w 20 lat później wysiłki legatów papieskich Idziego i Gwidona, mimo klątw i interdyktów, nie odnoszą skutku. Dopiero kiedy Leszek Biały (1202—1227) oddał kraj pod „opiekę" św. Piotra (papieża), udało się biskupowi krakowskiemu Pełce przy pomocy obcych żywiołów przetrzebić ze swej djecezji żonatych księży. Rzecz charakterystyczna, że ówczesne spisy kanoników krakowskich wykazują większość cudzoziemskich nazwisk. Rzecz zmieniła się całkowicie za czasów Władysława Laskonogiego. Naprzekór intencjom arcybiskupa gnieźnieńskiego król ten obdarzał prebendami wyłącznie tylko żonaty kler. Zakusy Rzymu na niezależność polskiej stolicy królewskiej, która wolała mieć kler żonaty, jako bardziej jej uległy i oddany, również za czasów Bolesława Wstydliwego (1243—1279) i jego następców: Leszka Czarnego i Bolesława Łysego spełzały na niczem, chociaż z ust „Chrystusowego namiestnika" padały na majestat Rzeczypospolitej i na polskie koronowane głowy liczne klątwy i interdykty. Walka Rzymu z władzą monarszą w Polsce za czasów Kazimierza Wielkiego przybrała tak ostre formy, że raz wielki ten Budowniczy Polski, znany ze swej łagodności, przybyłego doń z dekretem klątwy biskupiej kanonika Baryczkę za sutannę ułapił, i o mały włos przez okno do Wisły wraz z dekretem biskupim był nie wrzucił. Korzystało z tych swarów króla z Rzymem duchowieństwo, niechętnie patrzące na reformy Watykanu, i żyło sobie spokojnie u boków prawowitych swych małżonek Bogu na chwałę, narodowi zaś na pożytek. Jak zapewnia Długosz jeszcze w XIV wieku większość duchownych w Polsce była żonata.

nak, niestety, o tem, że w żywym organizmie zachować się może tylko to, co organizm ten sam stworzy, obca zaś rzecz, choćby sama w sobie najlepsza, nigdy przez ten organizm przyjętą nie zostanie. Wykazały to najlepiej najbliższe wypadki. Już w styczniu 1556 zbiera się u Szafrańca w Secyminie liczny synod, i opracowywuje polski przekład czeskiej konfesji, którą Małopolanie na synodzie w Koźminku zgodzili się przyjąć. Aliści już przy drugiem jej czytaniu zgromadzeni dochodzą do przekonania, że konieczne są w niej pewne dogmatyczne zmiany, i dopiero teraz poruszają ze znajomością rzeczy kwestję organizacji i karności kościelnej. Synod nie chce już wszystkiego od Czechów przyjmować i sprawę organizacji powierza nie im, jakby to z ugody koźmińskiej wynikało, lecz specjalnej komisji z superintendentem na czele. W kwietniu tego samego roku zebrał się synod w Pińczowie, który wręcz już postanowił, „iżby inszą konfessyą, a nie tę czeską, na polski język wyłożoną, spisać chociaż inszym porządkiem y słowy, wszakżeż na toż zrozumienie. Żeby miała swóy własny tytuł, to iest: Konfessya Kościołów w Polszcze krześciańskich, a o Braciey, albo Pikarciech, iżby żadney wzmianki nie było, dla tego, iżby ta konfessya w nienawiści nie była dla tego sromotnego przezwiska a stąd, iżby nie przyszło iakie prześladowanie". Małopolanom nie podobał się w konfesji czeskiej szczególnie artykuł o celibacie duchowieństwa. Uczestnik synodu, Laurencjusz, mówi, że „o celibat, albo stan wolny dwornie się koźlili, iż to nic nie jest, a o małżeństwie wielkie zalecenia czynili, a naukę o stanie wolnym powiadali bydź niebezpieczną i heretyctwa bliską". Również nauka Czechów o Wieczerzy św. nie odpowiadała Małopolanom, którzy skłaniali się raczej do nauki Kalwina i Zwingljusza.

Unja z Czechami nie była popularna wśród Małopolan. W gruncie rzeczy popierało ją tylko stronnictwo Krucygiera i Lutomirskiego, oraz kilku jeszcze świeckich panów, podczas gdy ogół był raczej wrogo do niej usposobiony. W społeczeństwie małopolskiem krążyły zdania i słuchy niezbyt korzystne dla Czechów: mieszano ich z adamitami i pikardami, o których, nie wiadomo dlaczego, mówiło się wówczas z przekąsem. Widać z tego, że w Małopolsce poczęła sobie torować drogę inna nauka, która walczyła o prawo pierwszeństwa. Był to kalwinizm, do którego rozwoju w Polsce w niemałej mierze przyczynił się nie kto inny jeno Lismanin, choć sam on sympatyzował z Czechami. Do polski wyprawił go Kalwin na żądanie Małopolan. Wskutek wiszącego nad nim edyktu królewskiego nie mógł on osobiście przybyć na synod. Wysłał tylko pismo, które spory Małopolan z Czechami, i tak już wielkie, jeszcze więcej zaogniło. W liście tym Lismanin radził Małopolanom, „iżby wezwali Kalwina ku reformowaniu ich kościołów, iżby żadnej konfessyi bez przeyrzenia a rozsądku kościołów helweckich i sabaudzkich, tudzież bez przeyrzenia Piotra Martyra i Lismanina na świat nie wydawali". Rozumie się, że taka mniej więcej treść tego pisma musiała mocno ostudzić zapał Małopolan do ściślejszej unji z Czechami. Pozatem oglądali się też już oni i za Janem Łaskim, którego zresztą na tym synodzie postanowili sprowadzić do kraju. Wszystko to razem doprowadziło niemal do całkowitego zerwania z Czechami. Po długich jednak zatargach rozjechano się do domów z planami nowych zjazdów, rzecz samą zostawiając narazie w zawieszeniu. Jawne już sympatje Małopolan w kierunku szwajcarskim nie przeszkadzają im jednak prosić piśmiennie Czechów o przysłanie im uczonych duchownych, którzyby urządzili ich zbory. Do Małopolski przybywają Jerzy Izrael i Jan Rybak. Zaczynają oni swój objazd od Secymina, niewątpliwie nie bez powodu. Ministrem Secymina był właśnie senjor zborów małopolskich, Krucygier ze Szczebrzeszyna, największy przyjaciel Braci.

(d. c. n.).

Nowe czasopismo kościelne „Szlakiem Reformacji" organ Wileńskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego

Redakcja naszego miesięcznika otrzymała egzemplarz pierwszego numeru czasopisma p. t. „Szlakiem Reformacji" za okres styczeń—kwiecień r. b. Czasopismo to, jak głosi jego podtytuł, jest organem Wileńskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Zaczyna więc istnienie swoje trzecie z kolei a drugie z istniejących czasopismo kościelne ewangelicko-reformowane, a fakt ten, zważywszy ubóstwo nasze pod tym względem, jest niewątpliwie dodatni dla interesów i spraw naszego wyznania w naszym kraju. To też możemy jedynie życzyć organowi bratniej Jednoty pomyślnego rozwoju na najdłuższą przyszłość i wyrazić życzenie, aby stał się on nietylko wiernym odbiciem jej życia wewnętrznego, ale jednocześnie godnym reprezentantem idei naszego wyznania i rzecznikiem jego potrzeb w naszych warunkach życiowych. W tym też kierunku jesteśmy gotowi okazać mu naszą serdeczną i życzliwą pomoc i współpracę w razie potrzeby, w rozumieniu, że służymy jednej sprawie i reprezentujemy jednakie potrzeby i dążenia.

Z tego też punktu widzenia z pewną przykrością stwierdziliśmy pojawienie się w pierwszym numerze pisma „Szlakiem Reformacji" artykułu pod tytułem „Protokuł posiedzenia konferencji przedstawicieli Jednot Ewangelicko-Reformowanych Warszawskiej i Wileńskiej, które odbyło się dnia 21 stycznia 1936 r. w sali Konsystorza Ewangelicko-Reformowanego w Wilnie przy ulicy Zawalnej Nr. 11". Sam fakt wydrukowania protokułu *obustronnie* przyjętego i będącego urzędowem stwierdzeniem przebiegu obrad rzeczonej konferencji nie mógłby rzecz oczywistą budzić w nas jakichkolwiek zastrzeżeń, tembardziej, że jego wydrukowanie — coprawda w „Jednocie" — było wyraźnie postanowione na tejże konferecji. Ale jest chyba rzeczą oczywistą, że można drukować jedynie protokuł, a więc dokument *obustronnie* przyjęty i *obustronnie* podpisany. Tak się w danym wypadku nie stało: pod tytułem „Protokuł i t. d." został ogłoszony jako protokuł jedynie jego projekt, zaproponowany po konferencji przez delegację Jednoty Wileńskiej, a nie przyjęty w jego brzmieniu przez delegację Jednoty Warszawskiej, która w odpowiedzi nań przesłała swój kontrprojekt, stojąc na stanowisku, że projekt Jednoty Wileńskiej jest nieścisły i budzi co do niektórych jego ustępów zasadnicze zastrzeżenia. Na zastrzeżenia swe delegacja nasza nie otrzymała dotychczas żadnej odpowiedzi z Wilna, to też fakt ogłoszenia projektu wileńskiego jako protokułu konferencji w piśmie, będącem urzędowym organem Jednoty Wileńskiej, musi budzić w nas poważne zastrzeżenia przeciwko bardzo jednostronnemu potraktowaniu sprawy, pomyślanej, jako początek współpracy obu Jednot opartej na wzajemnem się porozumieniu, a rzetelnej i szczerej. W związku z tem wyrażamy swe głębokie ubolewanie, że pierwszy urzędowy kontakt z organem bratniej Jednoty musimy przejawiać w formie zastrzeżenia i protestu: nie jest to naszą winą i nie my daliśmy powód ku temu. Wyrażamy też nadzieję, że na przyszłość będziemy obustronnie starannie unikać wszystkiego, co mogłoby powodować całkiem zbędne nieporozumienia i wnosić w nasze wzajemne stosunki atmosferę nieufności czy podrażnienia, niewątpliwie szkodliwych w dziedzinie współpracy obu naszych Jednot w naszej Ojczyźnie.

R.

Ewangelja jest mocą Bożą

Jeden z mych ukraińskich przyjaciół przebywa już od kilku lat zagranicą, w Szwajcarji, w Niemczech i w Holandji, gdzie poza studjami zawodowemi poświęca znaczną część swego czasu badaniom reformacyjnej przeszłości swego narodu. Owocem tych studjów i archiwalnych poszukiwań są ciekawe i godne podziwu odkrycia, któremi dzieli się ze słuchaczami na licznych wyznaniowych zjazdach, kalwińskich międzynarodowych konferencjach, oraz odczytach, nadawanych przez radjo. Poza ambicją naukową tej wielorokiej czynności przebija się rzecz oczywista na plan pierwszy interes praktycznej natury, a mianowicie chęć zaznajomienia ewangelickiego Zachodu z reformowanym ruchem ukraińskim w Małopolsce Wschodniej, zjednanie temu ruchowi przyjaciół i sympatyków, a co za tem idzie, również moralnej i materjalnej pomocy.

Poniższy artykuł nosi ten sam charakter. Sprawy, które porusza, są polskiemu czytelnikowi naogół mniej więcej znane, ale natomiast całkiem nowy jest sposób ujęcia zagadnienia, a przedewszystkiem ze wszechmiar ciekawa jest próba nawiązania dzisiejszego ewangelickiego ruchu wśród Ukraińców do dawnej przeszłości, oraz wartościowanie tegoż ruchu.

Artykuł ten jest skrótem dłuższej prelekcji, wygłoszonej na drugiej międzynarodowej konferencji kalwińskiej (The second international conference of Calvinists), która odbyła się w dniach 23—26 października 1934 w Amsterdamie. Prelekcja ta, wydrukowana zrazu tylko w holenderskim zbiorniku (Gravenhage, M. Nijhoff, 1935, str. 172—175), została niebawem powtórzona przez kilka zachodnio-europejskich, a nawet południowo-afrykańskich ewangelickich czasopism kościelnych, wywołując wszędzie najwyższe zainteresowanie.

Dla dokładności niechaj będzie tu wolno wspomnieć, że autor artykułu, który z wrodzonej skromności nie chce wyjawiać swego nazwiska, zajmuje się od pewnego czasu przekładem Kalwinowej Instytucji na język ukraiński; wydanie to finansują reformowani Burowie z południowej Afryki. W języku polskim nie posiadamy dotąd tego klasycznego dzieła genewskiego reformatora. Bracia Ukraińscy wyprzedzają nas i na tem polu, czego im jednak z głębi serca życzymy.

———

Kalwiński ruch wśród Ukraińców nie jest wcale nowem religijnem zjawiskiem, ale raczej odrodzeniem tego zjawiska, które w dziejach reformacyjnych Ukrainy miało miejsce już przed kilku wiekami.

Już dwanaście lat przed pojawieniem się biblji Lutra wyszedł ukraiński przekład Pisma św. W połowie XVI wieku nastaje okres świetności ukraińskiego kalwinizmu. Ukraińska mło-

dzież szlachecka studjowała wówczas najczęściej w Genewie, gdzie bezpośrednio zapoznawała się z nauką Kalwina. Słuchacze stawali się uczniami; po powrocie do kraju z zapałem zakładali szkoły biblijne (Kijów, Lwów), w których lud uczył się poznawać Słowo Boże. Do jakiego stopnia potężnym był ten ruch ewangelizacyjny najlepiej świadczą nam o tem dzieje. Z 500 grecko-katolickich rodzin szlacheckich z okolic Nowgorodu zaledwie 16 nie uległo naporowi Reformacji. W zachodnich dzielnicach kraju powstawały liczne zbory kalwińskie z własnemi szkołami i drukarniami.

Z czasem nastała reakcja grecko-katolickiego Kościoła; wystąpił przedewszystkiem car, jako głowa świętego prawosławnego Synodu. Rady zborowe zostały rozwiązane, duchowni uwięzieni, a życie reformowane bezwzględnie zniszczone. Zniweczenie kalwinizmu w zachodnich dzielnicach kraju, należących wówczas do Austrji, stało się dziełem Jezuitów.

Od tych czasów wiele się zmieniło. Wojna światowa i przewrót kosztowały Ukrainę wiele krwi i ofiar. Zdobyta samodzielność trwała niedługo; dziś wielka ziemia z 40 miljonami ludzi jest rozdzielona.

Dziś, jeśli wolno mówić o reformowanym ruchu wśród Ukraińców, stoimy przed tajemniczem jego nawiązaniem do dawniejszego okresu błogosławieństwa, przed jednym z cudów Bożych, który w naszych czasach wzywa do nowej wiary chrześcijaństwo uśpione szatańską mocą, wiejącą ze Wschodu.

Reformowany ruch wśród Ukraińców jako taki, istnieje zaledwie od kilku lat i ma swoje przyczyny: w pierwszym rzędzie ciągle budząca się religijność Ukraińców wogóle, która wzrastą aż do całkowitego rozbudzenia, dalej powróciło po wojnie do kraju wielu Ukraińców, którzy w czasie wojny zetknęli się z zagranicznym protestantyzmem, a odniósłszy jaknajlepsze wrażenie, zapragnęli przeszczepić go również na własnym gruncie. Szybko tworzą się małe zbory wierzących biblijnych chrześcijan. Do kraju wraca z Ameryki kilku Ukraińców, prezbiterjańskich kaznodziei (1925), i dzięki nim ruch nabiera charakteru ściśle reformowanego. Później różne organizacje misyjne zagranicznych Kościołów reformowanych ujmują się tego ruchu, i nadają mu właściwy kierunek. Dziś reformowany Kościół ukraiński obejmuje 28 zorganizowanych zborów, posiada 4 duchownych o akademickiem wykształceniu i 7 ewangelistów o wykształceniu seminaryjnem. Większość zborów leży w okolicach Kołomyi, kołyski ruchu, niektóre zaś w województwie Tarnopolskiem i Lwowskiem. Na usługach tego ruchu pozostaje miesięcznik „Wira i nauka", pozatem jest rozwinięty kolportaż Pisma św., oraz specjalne wydawnictwo ulotek i pism misyjnych w języku ukraińskim. Na język ukraiński został przetłumaczony katechizm Heidelberski, wydany niedawno w Holandji (Hilversum).

Aczkolwiek ruch ten szerzy się spontanicznie w dalszym ciągu, szczególnie wśród ludności wiejskiej, natrafia on jednak w swej drodze na liczne przeszkody i trudności. Jedną z nich jest brak kaznodziei. Zewsząd rozlega się wołanie: „Przyjdźcie i głoście nam Ewangelję", ale prośby te muszą pozostać niestety niewysłuchane, ponieważ nie starczy sił i środków na zaspokojenie tych wszystkich żądań. A skąd weźmiemy pracowników aż się kiedyś otworzą wrota Ukrainy w Republice Sowieckiej, i pole zbieleje tam już do żniwa?!

W każdym ruchu główną rolę grają wodzowie; jasnem jest, że jeśli nie będziemy mieli dostatek reformowanych kaznodziei, powstaną tam z czasem sekty najróżnorodniejsze. Powstanie ich w Ameryce w czasie najsilniejszej imigracji przypisać należy przedewszystkiem brakowi religijnych wodzów; lecz ten sam błąd nie może się już więcej powtórzyć.

Wielki naród wzywa wszystkie reformowane Kościoły zachodniej Europy o pomoc. Potrzebna mu jest nietylko pomoc materjalna, ale i moralne wsparcie póki nie wybuduje własnego mocnego Kościoła.

Ukraiński — z Rzymem zjednoczony — Kościół wypatruje swego końca. Niedawno arcybiskup Szeptyckij zwołał konferencję, na której zjawili się przedstawiciele wszystkich ziem. Radzono tam nad tem, w jaki sposób ratować Kościół. Prasa katolicka tak wyraziła się o sytuacji swego Kościoła: „Kościół płonie!" W samej rzeczy płonie on i długo już nie postoi, ponieważ został zaatakowany zarówno przez prawosławny jak i przez rzymski katolicyzm, oraz przez protestantyzm. Nerwowość urzędowej prasy kościelnej i systematyczna przeciwmisja „zagrożonych" terenów, świadczą jasno, jak poważnie jest traktowany ruch reformowany przez oficjalne grecko-unijackie władze kościelne.

Nie zapominajmy ponadto, że na wschodzie powstał świat bez Boga. Wysyła on na wszystkie strony swych agitatorów, jeno aby rozdmuchać rewolucję antyreligijną. Reformowani Ukraińcy znajdują się w ogniu rozstrzygającej walki, rozgrywającej się tuż pod bramami sowieckiej republiki, walki, posiadającej pierwszorzędne znaczenie. Naród przeżywa prawdziwą Reformację. Przód były setki, dziś są już tysiące tych, których podbiła sobie Ewangelja Chrystusowa, a dokąd Ewangelja przychodzi, tam ruch bezbożniczy traci swą moc. Na protestanckiem chrześcijaństwie spoczywa obecnie wielka odpowiedzialność za to, czy zrozumie i wykorzysta tę wielką godzinę, która dla niego wybiła. Jeśli bowiem wielki naród, mieszkający u granic azjatyzmu, przyznaje się z wielką miłością do Ewangelji, to oznacza to tyle, co najsilniejszy wał przeciw bolszewizmowi, i decydujący atak wiary przeciw bezbożności. Słowa Jezusowe: „Jarzmo moje jest łagodne, a brzemię moje jest lekkie", winny natchnąć kalwinistów męstwem postawienia swych sił w służbę Bogu,

z Bogiem i dla Boga. Dla światowego kalwinizmu jest wdzięcznem zadaniem szczere współczucie z reformowanym Kościołem ukraińskim, znajdujące swój wyraz w zakładaniu we wszystkich krajach zachodniej Europy organizacyj, które spieszyłyby z pomocą temu ewangelickiemu ruchowi. W ten sposób streszcza się wszystko w ostatecznem sformułowaniu: *bezapelacyjnem przykazaniem Bożem czasów dzisiejszych jest skierowanie aktywizmu światowego kalwinizmu ku wschodniej Europie.*

Przetłumaczył i podał
Wojciech Wrzos.

LEON RYGIER

Ku anielstwu ducha

(Próba syntezy)

Gdy w „Godzinie myśli" — już jako dwudziestodwuletni młodzieniec — opisywał Słowacki swoje czasy szkolne i przyjaźń ze starszym o lat kilka Ludwikiem Spitznaglem, to, porównując się z przyjacielem, tak się sam scharakteryzował:

„Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl [skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie,
I stawały — i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym [rozumem,
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś [wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnych ludzi [tłumem,
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia",

Z charakterystyki tej wynika, że poeta już na ławie szkolnej niezadowolony był z rzeczywistości, że jeżeli „żył w siódmem niebie", to nie powszedniemi radościami dzieciństwa, lecz „wypadkami myśli", to jest przeżyciami wewnętrznemi, a przedewszystkiem marzeniami, które „stroił czarnoksięską szatą".

Ale wynika również i druga właściwość tego genjalnego dziecka: silna wola twórcza, która marzenia te potrafiła rzucać przed siebie, jako obrazy, wystarczające złaknionej piękna wyobraźni i dające duszy poczucie tej mocy, która potrafi zdobyć krainę duchów i wynieść ją ponad pospolitą rzeczywistość.

Ale ta młoda wyobraźnia nacechowana była już wówczas posępnością jednostki, która wśród gminu ludzkiego czuje się samotną i niezrozumianą. Więc gdy pierwsza miłość młodzieńcza, pełna egzaltowanego uwielbienia dla starszej kochanki, a jednocześnie obolała dumą, nieustannie ranioną, prysła, jak miraż uroczy, dziecko z czarnemi oczyma, które miało dumę wielkiego człowieka — bladą twarzą upadło do ziemi.

Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy —
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem,
Serce, jak kryształ, w setne poryło się skazy
I tak zawsze zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się, jak tęczą, na ksiąg białej karcie,
Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani [w Boga.
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał [wroga.
On, w głębi duszy słysząc głos szczęścia daremny,
Mścił się — i gmach budował, niedowiarstwem [ciemny;
Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz, by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się — i myślami przybrać karłów [postać.

Niezwykle dziwne, o oryginalnym stosunku do marzenia świadczące wyznanie. Więc okazuje się z tych słów, że dla młodego Słowackiego świat wyobraźni, świat poezji, od którego umiał się wówczas „odłamać chłodniejszym rozumem", był ucieczką przed uczuciem niechęci, więcej czasem — przed pragnieniem zemsty nad ludźmi, którzy go nie rozumieli, ranili, upokarzali. Gardził i mścił się w tym świecie poetyckiej fikcji— a w ten sposób nasyciwszy swoje złe uczucia, już w życiu rzeczywistem mógł być „druhem dla ludzi". Profesor Kleiner określa ten stosunek Słowackiego do twórczości, jako poszukiwanie skuteczne lekarstwa na chorobę duszy.

Ten charakter amoralny, marzeń młodego Słowackiego uwydatnia się ze szczególną jaskrawością w jego „Arabie". Ten dziwny samotnik, którego jedynem pragnieniem jest niszczyć wszelki promień szczęścia, gdziekolwiek je spotka, który znajduje rozkosz w syceniu się rozpaczą ojca, wprzódy otruwszy mu synów, dziewicy, zabiwszy jej kochanka, palmy, zasypawszy pojące ją źró-

dło — ten potwór smutny i budzący, obok zgrozy, litość jakąś niesamowitą — czemże mógł być dla obolałej duszy młodego poety, jak nie próbą ukojenia swych nienawistnych i mściwych uczuć fikcyjnemi obrazami okrucieństwa.

I co dziwniejsza — w twórczości tej była świadomość takiego jej znaczenia dla poety. Słowacki wiedział, że amoralność jego poezji jest gwarancją moralności jego życia, że mszcząc się w poezji, w rzeczywistości zemsty napewno poniecha.

A mścić się miał naprawdę za co. Gdy się porównywa dzieciństwo jego smutne, cieplarniane, podsycane do przedwczesnych marzeń o wyjątkowości przez egzaltowanie czułą ambicję matki i pieszczoty sióstr przyrodnich, które „ręką dziewic gładką" trefiły włos jego czarny — z „sielskiem i anielskiem" dzieciństwem Mickiewicza, przepędzonem w atmosferze zdrowia moralnego i najszlachetniejszych tradycyj narodowych — to nic nas nie dziwi późniejsza jego skarga na otrzymane w domu wychowanie, którą przesłał matce z Paryża jesienią 1832 r. „Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka".

Bo rzeczywiście — jakaż była atmosfera domowa, w której rozwijała się ta wyjątkowa indywidualność artystyczna? Ktoś porównał życie jego w tej dobie do losu orlęcia, więzionego w klatce — i jest w tem porównaniu cała prawda. Młode lata jego upływają w zupełnem oderwaniu najważniejszych spraw życia narodowego. Nie poznał ożywczego źródła ideologji filareckiej, nie brał udziału w niebezpiecznej, ale hartującej wolę i męstwo pracy tajnych związków młodzieży; w domu jego matki i obarczonego przekleństwem tej młodzieży ojczyma ulubionym gościem był Pelikan — a działo się to, oczywiście, skutkiem nieświadomości pani Salomei, skutkiem jej zasklepienia się w świecie egzaltowanych marzeń, czerpanych z francuskiej lektury. To też w „Pamiętniku" poety znajdujemy takie wyznanie: „Dręczyła mnie nadewszystko moja matka, zawsze płacząca. Było to skutkiem jej ciągle trwającej słabości, ta, osłabiwszy jej fizyczne siły, dała nad niemi przewagę imaginacji, karmionej ciągle czytanemi romansami.

Matka moja od dzieciństwa nigdy się nie zajmowała kobiecą pracą... i nauczywszy się po francusku, znalazła w tym języku mnóstwo dzieł, które czytała ciągle, stąd miała wiele wiadomości, w towarzystwie jej rozmowa była interesującą, lecz nie tchnęła sawanterją, bo matka zapominała książki, które czytała, nie mogła więc robić cytacyj; ale koloryt tych książek różnych, smutnych lub wesołych, przydawał ciągle nowy wdzięk do jej rozmów. Tworzyła nieznacznie sobie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl. Miała dar bawienia zebranego u siebie towarzystwa i postawienia każdej osoby w najkorzystniejszem świetle, stąd każdy z naszego domu kontent z siebie wychodził".

Słowacki odczuwał ten wdzięk, zresztą powszechnie przyznawany pani Salomei, a jednak ciężko, duszno mu było w domu. Mówi o tem wyraźnie w tym samym pamiętniku. Gdy kochał się w Ludwice Śniadeckiej i przeżywał to swoje uczucie, jak posępni bohaterowie Byrona, matka wymagała od niego ciągłej otwartości.— „To być nie mogło — pisze poeta. Wymagała tego ode mnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i łzy pożerać w milczeniu; stąd ciągłe jej skargi i nudzący mnie płacz. — Wychowany między kobietami, pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym".

Bardzo musiała dolegać poecie jego klatka domowa, skoro on, autor najpiękniejszych z pośród listów do matki, jakie ktokolwiek na świecie napisał, wygłasza taki naprawdę okrutny aforyzm:

„Matkom trzebaby wmówić tę prawdziwą maksymę, że wszystko, co one starań dają swoim dzieciom, dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddawać powinny".

Nie chciałbym rozwiewać tego tęczowego obłoku idealizacji, jakim poeta otoczył w swoich listach tę, którą nazwał później „Salus mea" — czyli „Zdrowie moje" — ale pragnę zdjąć z niego zarzut niewdzięczności synowskiej, jakim go za ową niechęć do domowych pieleszy w owym czasie obarczył w swojej monografji prof. Małecki. Niestety faktem jest, że pani Salomea niebardzo rozumiała swojego młodziutkiego syna — i chciała go nagiąć do swoich pojęć o życiu, które napewno nie były, nie mogły być zgodne z jego intuicyjnemi przeczuciami przyszłych zdobyczy w świecie ducha.

„Matka moja żądała, abym robił cywilną karjerę w Warszawie, w którem z biur... Czułem, że ja nigdy nie stanę na wysokim stopniu hierarchji cywilnej; jednak dla dogodzenia matce w myśl jej wchodziłem — i wkrótce wyjazd mój do Warszawy został postanowiony".

Tak — z tych słów poety wieje żal, który należało za wszelką cenę stłumić — bo ta matka, może nie rozumiejąca swego syna, kochała go jednak bardzo czułem, egzaltowanem sercem. I Słowacki smutek swój, niezadowolenie z życia i wyznaczonej mu w niem nienawistnej „karjery" zamykał w poezji — by móc przed niechęcią dla matki ocalić swoje serce. Był okrutnym w poezji, by móc kochać w życiu.

Ale ten nastrój samotniczej niechęci i wzgardy dla świata i ludzi, który zachmurzał jego poezję — stawał się dlań wkońcu jakiemś zaklętem kołem, z którego poeta wyjść nie umiał. Odbiło się to, mojem zdaniem, i na jego stosunku do powstania listopadowego, które go zaskoczyło wówczas, gdy na zew życia, zew zbiorowego czynu, był jak najmniej przygotowany.

Zachowanie się Słowackiego w czasie powstania listopadowego komentowano wielokrotnie i b. rozmaicie. Jedni, jak np. profesor Tretiak, pomawiali go wprost o brak uczucia patrjotycznego; inni, jak prof. Małecki, wyrażali przypuszczenie, że na nagły wyjazd Słowackiego z Warszawy, na tę, jak on sam to określił „ucieczkę przed męką", wywarła wpływ decydujący jego drażliwość, obrażona broszurą Lelewela p. t. „Nowosilcow w Wilnie", w której to broszurze znakomity historyk dotknął go pośrednio w osobie jego ojczyma, dra Becu; inni wreszcie, jak prof. Kleiner, stawiają hipotezę, że Słowacki wyjechał do Drezna w porozumieniu z Rządem Narodowym, jako przeznaczony do specjalnej misji, mianowicie do dyplomatycznej podróży do Londynu w sprawie rokowań między Polską i Anglją.

Pierwsze dwie z tych hipotez krzywdzą pamięć genjalnego poety, sprowadzając tragizm tej jego „ucieczki przed męką" do poziomu przyczyn nieledwie niskich, a w każdym razie małych; trzecia jest niedowiedziona i nastręcza po dziś dzień wątpliwości. To też prof. Kleiner rzucą ją mimochodem i przenosi punkt ciężkości zagadnienia w głąb skomplikowanej psychiki Słowackiego, która nie może być mierzona tą pospolitą miarą, jaką stosujemy do ludzi zwykłych. By jednak ten punkt ciężkości ustalić, trzeba się zwrócić nie do zewnętrznych faktów biografji poety, lecz do tego świata, w którym najlepiej odbiła się jego dusza: do jego twórczości.

Wybuch powstania zastał Słowackiego w Warszawie, gdy, jak sam to pisze o sobie, „żył w innym świecie poezji... w przeszłości".

Świat ten stał się dla niego jedyną ucieczką przed niemiłą rzeczywistością, jaką były dla niego powszednie czynności biurowe i niezbyt pociągające nowe stosunki towarzyskie. Na potężne wypadki zareagował przedewszystkiem, jako poeta: pieśnią. W kilka dni po wybuchu powstania napisał „Hymn do Bogarodzicy", potem „Odę do wolności", „Kulik" i „Pieśń Legjonu litewskiego". W utworach tych starał się Słowacki wyrazić zarówno podniosłość powstania, jak i zamaszystą fantazję czynu żołnierskiego. Ale rychło zakończył lirykę powstańczą, chociaż ona to właśnie dała mu przedsmak sławy, której tak pragnął od dziecka, do której tak tęsknił. Przez tę lirykę przecież trafił do serc tłumu, który później obojętnie słuchać będzie coraz doskonalszej jego pieśni.

Dlaczego tak się stało?... Dlaczego Słowacki, dobywszy ze strun swej liry kilka tonów bojowych, nietylko milknie nagle, ale ucieka z kraju, objętego płomieniami walki?

W „Odzie do wolności" jest jedno miejsce, bardzo dla tego zagadnienia charakterystyczne. Słowacki maluje tu następujący obraz: młodzieniec zgorzkniały, strawiony niedowiarstwem, zatraca poczucie cnoty i zbrodni i myśli o samobójstwie. Taka była „choroba czasu", taki był „duch wieku". Obecnie jest inaczej. Rozpaczliwe niedowiarstwo zwyciężone jest — przez religję wolności. Nie rozpaczać tedy trzeba, lecz działać, a jeśli życie poświęcić, to ze świadomością celu i poczuciem jego wartości.

Podnieście wybladłe czoła!
Dalej — do steru okrętu!
Dalej — na morskie głębinie!
Rzućmy się w odmęt — z odmętu
Może niejeden wypłynie!

Profesor Kleiner zwraca słuszną uwagę, że to przejście od myśli samobójczych bezcelowego niedowiarstwa do wiary w wolność i rzucenia się w odmęt dla celu wielkiego — to przecież ewolucja duchowa „Kordjana".

Otóż to właśnie. Mamy zupełne prawo zawyrokować, że Słowacki w chwili wybuchu powstania ewolucji tej jeszcze nie przebył, że był dopiero u początku jej drogi. A posteriori w „przygotowaniu" do Kordjana, nazwie szał bojowy, któremu ulegli żołnierze polscy, „obłąkaniem ich — przez szatana".

Czy to nie jest czasami echem tych doznań, jakich sam doświadczył po otrzeźwieniu z chwilowego entuzjazmu, gdy przemogła choroba wieku? Gdy w wiele lat później, w „Rozmowie z Maryną Mieczysławską", skarżyć się będzie:

godności nie mam, przed męką uciekłem",

czy nie będzie rozumiał pod tą męką tragedji człowieka, który powinien był iść w bój — wbrew własnemu przekonaniu o błędności, o szaleństwie powszechnego czynu?

Za najtragiczniejszą scenę w „Kordjanie" ja osobiście uważam rozmowę bohatera z Doktorem w szpitalu warjatów. Kordjan, po nieudanym zamachu na cara, walczy z własnym sceptycyzmem. Chce zbudzić w sobie przekonanie, że śmierć, na jaką go skażą niezawodnie, będzie poświęceniem się za naród, które zaważy na tego narodu losach. „Każdy człowiek, który się poświęca za wolność, jest człowiekiem nowym, Boga tworem". Szatan z ironją ukazuje mu dwóch obłąkanych, z których jeden uważa się za krzyż Chrystusowy, a drugi za Atlasa, dźwigającego w męce bezsennej sklepienie niebieskie, by nie spadło ludziom na głowy. Drwi bezlitośnie z „Kordjana":

„A cóż wiesz, że nie jesteś, jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nic.
O złota rybko w kryształowej bani —
Tłucz się o twarde brzegi niewidzialnych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz [skrzelą,
Jest wszystkiem — a świat cały nicości topielą.

Kordjan z rozpaczą woła:

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojej duszę;
Ostatni skarb wydzierasz: własne przekonanie,
Ostatni promień gasisz.

Mam wrażenie, że słowa te są tragicznem echem chwil, jakie przeżył Słowacki, zbudziwszy

się z krótkiego upojenia bojowego, którem przepełnił jego duszę wybuch powstania, do tego „jaskółczego niepokoju, który przeżywał, jako młodzieniec, a który był właściwie tłuczeniem się o pręty klatki bezcelowego istnienia.

Przed tą męką uciekł pewno do Drezna, by pogrążyć się tam w twórczości poetyckiej, mającej na celu jedynie „artystowskie" piękno. Piękno, które samo sobie było celem, a jednocześnie przyrodzonym żywiołem budzącego się do lotu genjusza.

Uciekł przed czarem „romantycznego zgonu", który pociągnął Kordjana, nie wierzącego w powodzenie swego czynu, opętanego w chwili decydującej przez widma strachu i imaginacji: przed tym samym czarem, o którym mówi w „Warszawiance" Wyspiański.

Na usprawiedliwienie takiej właśnie, a nie innej motywacji tajemniczego ochłodnięcia Słowackiego dla powstania nie mam żadnych danych konkretnych, zaczerpniętych bądź to z biografji Słowackiego, bądź z jego korespondencji, czy pamiętnika, mimo to wydaje mi się ona słuszną, jeżeli weźmiemy pod uwagę autocharakterystykę Słowackiego z lat młodzieńczych, zawartą w „Kordjanie".

W pierwszym akcie tego dramatu młody, przedwcześnie sceptyzmem wyziębiony pesymista, wysłuchawszy opowiadania starego sługi, Grzegorza, o bohaterskim czynie syberyjskiego więźnia, który pomstę na kacie wygnańców polskich okupił śmiercią tragiczną, tak mówi do siebie:

Boże! Jak ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma! Lecz ja nie mam [wiary...
Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam...
Dróg, zawartych przesądem, nie przestąpię [krokiem.
Teraz czas świat młodzieńca zapałem [przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć — alboli nie żyć?
Jam bezsilny ;nie mogę, jak Edyp zabójca,
Rozwiązać wszystkich sfinksów zagadki na [świecie!
Rozmnożyły się sfinksy! Dziś tajemnic trójca
Liczna, jak ziarnka piasku, jak łąkowe kwiecie!
Wszędzie pełno tajemnic! Świat się nie [rozszerzył,
Ale zyskał na głębi... wierzchem człowiek płynie,
Lecz, jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu [ginie.

Wreszcie w liście do autora „Irydjona", zamieszczonym, zamiast wstępu, na czele Lilli Wenedy, wyznaje otwarcie:

„Ile razy zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć, albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach[1]), który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni, śpiewany przez poetę".

W tych hamletycznych zwątpieniach i gniewach, w tem pogardzaniu rzeczywistością, która nigdy nie wytrzymywała próby konfrontacji z marzeniem, w tej niechęci do faktów konkretnych, które przeto właśnie, że są konkretne, muszą pod niejednym względem zawodzić pokładane w nich nadzieje — trzeba szukać dziwnej zmiany nastroju Słowackiego w stosunku do powstania. Jako marzenie o czynie rycerskim, który, jak o tem świadczą „Hymn do Bogarodzicy" i „Oda do wolności", budził w nim wiarę, że rewolucja ogarnie nietylko Polskę, lecz Moskwę i Petersburg, i przypomni Kromwela i Waszyngtona — powstanie porwało poetę swoim potężnym urokiem; potem przyszła rzeczywistość, niewątpliwie uboższa od prometejskich marzeń poety, który śnił o słońcu, nie zachodzącem już w krajach wolności — i nastąpiła gwałtowna reakcja. Własne zwątpienie uogólnił pewno wtedy; cień, który padł na jego własną duszę, przysłonił mu piękno czynu powstańczego — i — może jeszcze w podświadomości — tworzyć się zaczęła ta tragiczna koncepcja niezdolności do życia narodu — jaka ostatecznie powstała po klęsce i wyraziła się w straszliwych słowach Rozy Wenedy do harfiarzy:

Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: giniemy —
I tysięcy sześć nie tkniętych żelazem,
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem,
Otworzyłam jeden tułów trupowy
I znalazłam, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się, jak liść olchowy.
Więc plunęłam temu sercu w usta
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków —
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
Spojrzałam w nią — lecz była pusta
I nie było w niej serca! — Jak chusta
Zbladłam we śnie — i we śnie umarłam,
Widząc, że w niej serca nie było...

I znów mamy tutaj owo charakterystyczne okrucieństwo Słowackiego w poezji, które jest ucieczką jego przed tragedją wzgardy, czy nienawiści w życiu. Prócz własnych predyspozycyj poety należy tu uwzględnić jeszcze posępny wpływ Byrona.

Z lektury tego poety wydobył Słowacki przeciwstawienie jednostki światu. Szanfaremu kazał gardzić i nienawidzieć, Hugonowi buntować się. „W blasku krwawej purpury Mindowego — mówi profesor Kleiner — zrodził się nowy rys bajronizmu Słowackiego: jednostka, przeciwstawiona światu, czuje się potęgą wyższą". Zrodziła się kreacja wielkiego człowieka. Jednostka

1) Mowa o „Grobie Aganemnona".

odczuła nietylko swą odrębność, ale swą jedyność. Wielkość jednak łączy się z goryczą, z nienawiścią do świata. Ta odśrodkowość Słowackiego, który, jak o tem opowiada w „Godzinie myśli", już dzieckiem nie chciał mieszać się z tłumem i karmił się wraz ze Spitznaglem „współzawodną dumą" — towarzyszyła mu niezawodnie, gdy opuszczał w czasie powstania Warszawę, by udać się zagranicę. Może wyczucie własnej jedyności i wyższości uprawniało go w jego mniemaniu do wybrania sobie innej, jak sądził, wyłącznie dlań stosownej drogi, może to zresztą był podświadomy odruch młodzieńca, który marzyć tylko o wielkim czynie potrafił, ale na ten czyn zdobyć się nie mógł. Gdy jednak z kraju wyjechał, gdy powstanie zakończyło się klęską, wtedy miłość ojczyzny doznała podniety, której dotychczas jej brakło. Uczucie to zostało silnie zranione, stało się do głębi bolesnem — i bolesność ta, wobec właściwej Słowackiemu organizacji psychicznej, zapewniła mu nieustanne potężnienie. Jeśli nie pozbył się swojego przeświadczenia, że organizatorzy powstania nie dorośli do swojej roli, to w każdym razie i sam poczuł się winnym — i to poczucie winy rosło w nim z dniem każdym. „Zdawało mi się, że uciekam, i teraz jeszcze często kłócę się z mojem sumieniem — pisał w liście z dnia 17 marca 1831 r.; w lipcu myśl tę wyraża bezwzględniej i ostrzej, twierdząc, że nie jest godzien, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. Porównując swój wyjazd z postępowaniem wuja, Jana Januszewskiego, w liście z dnia 24 stycznia 1832 r. mówi: „Jeżeli umarł, zazdroszczę mu", a do dziadka i babki pisze: „Teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć — i przyjdzie jeszcze chwila".

Utworem, który „uprzędły miłość kraju i rozpacz" — był po raz pierwszy Lambro. Stał się on jednocześnie sądem nad społeczeństwem i jednostką. Kontrast pomiędzy dawną wielkością starożytnej Hellady, a nowożytną Grecją, jest tragicznie bolesny. Główną wadą Greków, nawet tych, co się zerwali do czynu, jest połowiczność.

„Tu zżółkłe twarze — może serca zwiędły?
Miałem tu znaleźć ludzi — widzę trupy.
Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni — lecz na pół otrucia,
Wyście przywykli zabijać półczucia
I zmartwychwstawać — lecz półzmartwych-
[wstaniem".

Takie jest społeczeństwo, naród. A jednostka? „Lambro — pisał Słowacki w przedmowie do trzeciego tomu poezyj — jest to człowiek, będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań, jest to wcielenie szyderstwa losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czem być mogli, o których nieznajomi mówią, że byli niczem".

Ale poczucie winy własnej kazało Słowackiemu osłabić posępny efekt tych słów. Czuł, że jego ucieczce przed powstaniem winien jest nie on sam; że zawinił tu również i los jego tragiczny, który tak ukształtował jego duszę, że nie była zdolną do zwycięskiego entuzjazmu. Dla późniejszego mistyka, który we wczesnej młodości czytywał Swedenborga. — Los przyoblekł się w postać Szatana, który objął w dziewiętnastym wieku rządy nad światem. W cytowanej już uprzednio scenie Kordjana, w której szatan pod postacią doktora pozbawia bohatera tragedji wiary w sens poświęcenia, o ile jest ono bezowocne, kusiciel tak przemawia do swojej ofiary:

Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie
[ludy:
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się
[ludy:
To była ziemia, na niej wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów
[wody —
W trzecim, jak drzewa, greckie wyrosły plemiona
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce —
W piątym wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki... a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona,
W szóstym człowieka zlepił Bóg... Napoleona.
Dziś dzień siódmy; Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy — nikogo nie stworzył.

Stąd wniosek, że szatani są istotnymi panami ziemi, nad którą zdaleka tylko, zagadkowo, niejasno, unosi się wola Boga. Szatani tworzą ludzi nowych i obdarzają nimi nieszczęśliwy naród polski. O przywódcach powstania — o Chłopickim, Skrzyneckim, Krukowieckim, Niemcewiczu, Lelewelu, nawet o Czartoryskim, chociaż dostaje mu się nazwa „człowieka godnego", — twierdzi poeta, że pochodzą z szatańskiego kotła, że są tworami szatana. A jeśli Kordjan nie jest tworem szatana, to jest w każdym razie jego igraszką, ofiarą.

W tym — niewątpliwie pod wielu względami niesprawiedliwym sądzie — dopatrzeć się można chęci usprawiedliwienia się Słowackiego ze swojej ucieczki przed sprawą, która była w ręku ludzi, dotkniętych tak straszliwym stygmatem. Jeśli zgodzimy się na powszechne twierdzenie, że „Spisek koronacyjny" jest potencjalną autobiografją poety, przedstawiającą przypuszczalne jego dzieje na wypadek wzięcia przezeń udziału w powstaniu, to w takim razie ucieczkę jego dałoby się usprawiedliwić instynktem, ostrzegającym go przed źródłem tragedji narodowej, którem były moce piekielne. I wtedy Anhelli, który przecież jest dalszym etapem ewolucji duchowej poety, stanie się nam zrozumiałem dopełnieniem Kordjana: jego Chrystusowa, dobrowolna ofiara potrzebną będzie właśnie po to, by osłabić moc szatana i zakończyć jego panowanie nad światem.

(d. c. n.).

WOJCIECH WRZOS

Kilka wrażeń

Z pobytu wśród reformowanych Węgrów na Słowaczyźnie

(dokończenie)

W popołudniowych godzinach (już zmierzch zapadał) z bijącem sercem zadzwoniłem do domu Ks. prof. Sörös'a. Nie było go w domu; odbywał właśnie konferencję gdzieś w mieście. Pani domu na wieść o niespodziewanej wizycie poleciła służącej odszukać małżonka, a gość tymczasem komponował pracowicie w gabinecie pana domu piękną węgierską formułkę, którą zamierzał się przedstawić. Drzwi się otwarły. Stanął w nich uśmiechnięty Ks. prof. Sörös. „Jó estét kivánok— zacząłem recytować. — En Lengyel, en nemirten Magyarul beszélnyi"! Dalej już nie mogłem, węgierszczyzna moja wyczerpała się, zacząłem po niemiecku. Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, pierwsze lody były przełamane. Dalsza konwersacja toczyła się po niemiecku i po angielsku, nie tyle może płynnie ile serdecznie. Każdy z rozmówców raz po raz posługiwał się, w miarę jak mu było wygodniej, jednym lub drugim językiem, częściej jednak Ks. profesor mówił po angielsku, ja zaś po niemiecku. Nikogo jednak nigdy, mimo trudności językowych, tak dobrze nie rozumiałem, jak właśnie Ks. prof. Sörös'a. Po chwili przybył Ks. Kövy. Znieruchomiał w fotelu, jeno się czasem uśmiechnął, przerzucając co chwila wzrok z nad grubych szkieł z obu giestykulujących interlokutorów. Widocznie w pierwszej chwili nie bardzo się orjentował, w jakim to właściwie języku rozmowa się toczy, a i tak później monosylabicznie tylko dorzucał do rozmowy niemieckie słówka, chociaż niemczyznę zna doskonale.

Nazajutrz po noworocznem nabożeństwie obaj szanowni księża profesorowie i pan kurator zboru Szilassy Béla, członek starej reformowanej szlacheckiej rodziny, z iście węgierską serdecznością w zawody bawili gościa rozmową, informując go o dziejach i o życiu Łuczenieckiego zboru. Reformacja zapuściła tu głębokie korzenie. W Wielkanoc r. 1590 całe miasto, liczące wówczas 3.000 obywateli (dziś 14.000 mieszk.) przystąpiło do komunji św. pod dwiema postaciami, aktem tym oficjalnie przyznając się do reformowanego wyznania. Przeciwreformacja nie mogła niczego tu zdziałać, mimo to jednak z biegiem czasu zbór począł maleć (dziś liczy 650 dusz przeważnie ze sfer inteligenckich) już to wskutek emigracji inteligencji, szukającej miejsc w głębi Węgier, już to przez klęski wojenne. Szczególnie r. 1849 stał się klęską dla zboru. W roku tym Rosjanie splondrowali i spalili miasto. Ofiarą ich grabieży stał się również zbór: pastwą płomieni stały się akta zborowe (do r. 1640, reszta ocalała), rozkradzione zostały naczynia komunijne*), a kościół zniszczony. Dziś Łuczeniec dzięki właśnie teologicznemu seminarjum nabywa coraz większego znaczenia w religijnem życiu słowackich Węgrów.

Wieczorem 1 stycznia b. r. byłem znowu w Tekowskich Szarluhach, a następnego dnia rano zacny Toth János wiózł mnie i przyjaciela mojego do Dolnego Fedwerneku (Fegyvernek), ongiś artykularnego okręgu, dziś liczącego zaledwie 444 dusz. Dobrze już zziębnięci i głodni dotarliśmy w samo południe do celu, gdzie czekało nas gościnne przyjęcie. Młodzi małżonkowie, p. Sárika i Ks. Nagy István (Stefan), zaledwie od kilku miesięcy przebywają w Fedwerneku. Prawością i prostotą charakteru z miejsca zdołali sobie zjednać serca parafjan, chociaż poprzedni duchowny nie pozostawił po sobie atmosfery specjalnie sprzyjającej duchownemu. Zborownicy dbają o młode pastorostwo jak o własne dzieci. Co czas jaki przyjdzie ten i ów na plebanję, i coś w zanadrzu przyniesie, aby jeno młode pastorostwo, gospodarzyć dopiero zaczynające, głodu lub niewygody nijakiej nie zaznało. Pani pastorowa pokazywała z radością małej dziewczynki pięknie zaopatrzoną spiżarnię, w której ani pieczonych kaczek i butelek wina nie brakowało. To wszystko dary zborowników. Młodzi ludzie za serce sercem płacą. Ciepło robiło się na sercu przy słuchaniu pastorostwa o stosunkach zborowych. Przez krótką chwilę zabiegłem myślą do kraju, i z głębi westchnąłem.

Pod wieczór w powrotnej drodze zatrzymaliśmy się „tylko na minutę" w Szarowcu, ale Ks. Toth István nie puścił nas pierwej, póki nas

*) Skradziony przez rosyjskiego żołnierza dzban komunijny dostał się za pośrednictwem oficera w posiadanie polskiego reformowanego zboru w Popieli, leżącego dziś na terenie Litwy Kowieńskiej. Na dnie z zewnętrznej strony odczytałem nie bez trudu niewprawną ręką wyskrobane słowa: „Ofiarowana p. J. Pana Adama Fribssa, por. Woy. Ross., r. 1851". Dzban ten został w r. 1874 odesłany do Łuczeńca. Zbór Łuczeniecki, pragnąc zrewanżować się za oddanie drogiej pamiątki, ufundował srebrny kielich z herbem miasta z jednej — i z łacińskim napisem, z drugiej strony. Napis ten głosi: „Ecclesia reformatorum Losonciensis referet benevolentiam ecclesiae reformatorum in Popiel, 1875". Dotąd jednak dziwnym zbiegiem okoliczności kielich ten Popielskiemu zborowi nie został doręczony, choć, jak doniósł mi NPWb. Ks. Senjor generalny Dr. P. Jakubenas z Kowna, powielekroć czynione były starania w celu uzyskania tej miłej i drogiej pamiątki, słusznie należącej się Popielskiemu zborowi. Od chwili ufundowania kielicha ubiegło już zgórą 60 lat. Ks. prof. Sörös zapewniał mnie, że kielich zostanie jednak wydany, i jestem przekonany, że słowa swego dotrzyma.

wprzód setnie nie ugościł kolacją i winem, a pani pastorowa nie uraczyła polską muzyką. Et, cóż, pani pastorowa z Tekowskich Szarluh napróżno tym razem czekała na nas z kolacją!...

4 stycznia pożegnałem ostatecznie gościnny dom pastorostwa w Szarluhach. Po południu tegoż dnia stanąłem w Bratysławie przed obliczem Ks. biskupa Dr. Balogh'a Eleméra. Nigdy chyba nie zapomnę tego człowieka. Wszedłem do pokoju. Opisać gabinet najsławniejszego reformowanego węgierskiego duchownego na Słowaczyźnie jest nadwyraz trudno. Nieporządek to za słabe słowo na odmalowanie istotnego stanu panującego w pracowni biskupa: za słabe i niewłaściwe. Zwyczajny stół na środku, obok fortepjan, a dokoła ścian półki jak w księgarni, i wszystko to dosłownie bez ładu i składu zawalone książkami i foljałami, pozbieranemi z całego świata u wszystkich możliwych i niemożliwych antykwarjuszy i wydawców — to gabinet najpopularniejszego na Słowaczyźnie człowieka. A on sam? Siedzi sobie za stołem bez marynarki (pokój silnie wygrzany) siwowłosy staruszek o okrągłej, rumianej twarzy zdrowego wieśniaka, o którym nie rzekłbyś, że to biskup i uczony. Dopiero kiedy spojrzy na cię wesołemi i bystremi oczami o barwie nieba mienisz swe zdanie. A zacznij z nim rozmowę, mniejsza o to w jakim języku. On dużo wie z książki i z życia, dużo słyszał, wiele widział. „Paryż, zaraz, aha, tam i tam, to i owo"... i już jest z tego cała historja. W ten sposób może opowiadać nieledwie o wszystkich miastach europejskich, ba nawet Ameryka i Azja ze swą przeszłością i kulturą nie są mu obce. „Lengyel, Lengyel" — mruczał pod nosem, silnie trąc ręką czoło, jakby coś w pamięci szukał i coś wspominał. „Pole, Pole, ja ich hab's schon" — mówił więcej do siebie, niż do mnie, i począł mówić o polsko-węgierskiej przeszłości ze znawstwem i drobiazgowością fachowca erudyty. Od przeszłości przeszedł do politycznych i religijnych zagadnień dzisiejszych, przejawiając na każdym kroku niebywałą znajomość rzeczy i bystry osąd spraw bieżących. „Na, ja, aber Sie sind schon mühde" — zwrócił się nagle do mnie. Nie, zmęczony wcale nie byłem, owszem słuchałbym go jeszcze długo. Wstał i usiadł do fortepjanu. Tłuste, okrągłe paluszki z zadziwiającą i nieprawdopodobną lekkością przesunęły się po klawiaturze; po pokoju rozległa się swawolna, młoda, niefrasobliwością tchnąca melodja. I znów słuchałem... Melodja niepostrzeżenie zmieniała się... melodja życia, zapałów, zwycięstwa, klęski, rozpaczy, wichrów i burz, ukojenia i łez, smutku i szczęścia? „Zna to pan?"— zapytał. „Nie, — odparłem zasłuchany — ale rozumiem". Nic nie rzekł, tylko się uśmiechnął. Jestem więcej niż pewny, że to, co grał nie widziało drukarskiej prasy. Taki jest biskup Balogh. Przy całej erudycji i doświadczeniu życiowem, zachował w podeszłych latach młode, żywe serce i radość życia. Przy kolacji znowu cały czas gawędził wesoło, raz po raz zachęcając: „dolgoznyi, dolgoznyi kérem" (pracować, pracować proszę). Ha, trudno było w takiem towarzystwie nie „pracować".

Nazajutrz, w niedzielę, Ks. biskup oddał mnie pod opiekę prof. Stelzera Lájos'a, który miał mnie oprowadzić po mieście i pokazać jego osobliwości. Żegnając się ze mną dodał wesoło: „Proszę nie zapomnieć odwiedzić potomka króla Sobieskiego, o którym wczoraj panu mówiłem". Odnalazłem tedy „potomka króla Sobieskiego", ubogiego bratysławskiego kuśnierza Szeiff'a (Zajf). Biedak uważa się za potomka polskiego króla z linji, jeśli się nie mylę, Jakubowskiej, posiadającej na Węgrzech zamek Györ. Od kilku lat zbiera dokumenty, mające udowodnić jego królewskie pochodzenie.

Na wizycie u królewskiego potomka skończył się mój pobyt wśród reformowanej węgierskiej braci. Miałem za sobą 1.500 klm jazdy pociągiem, moc wspomnień i rzetelne „utrudzenie ciała".

KS. LUDWIK ZAUNAR

Echo „Odgłosów Konferencji Wileńskiej"

Nie jest rzeczą ani pożądaną ani słuszną dla pisma, jeśli rozpoczyna swe istnienie pod znakiem kontrowersji, polemiki i ataków natury osobistej. Nie należy bowiem taka metoda do kategorji dobrych zwyczajów dla żadnego pisma, a już napewno nie dla czasopisma, które nosi tytuł organu kościelnego, mającego odźwierciadlać zasady i ducha wyznania ewangelicko-reformowanego. A tym właśnie niedobrym torem poszło czasopismo „Szlakiem Reformacji" w artykuliku p. t. „Odgłosy Konferencji Wileńskiej" podpisanego przez X. A. P. Autor tego artykuliku, o ile się nie mylę Ks. Otton Piasecki, imputuje mi w dosyć brawurowy a nieścisły sposób dążność do wtłoczenia w ramy urzędowego protokułu rzeczonej konferencji mych prywatnych zapatrywań, które, jak twierdzi, były zgłoszone jako luźne życzenia po za porządkiem obrad i jako ad hoc odczytane przezemnie nie mogły się stać przedmiotem dyskusji, a tembardziej nie mogły być

przyjęte do wiadomości jako podstawa późniejszych uchwał, o którychto wogóle nie było mowy. Dalej twierdzi, że dezyderaty moje spotkały się ze sprzeciwem wielu delegatów wileńskich, a nawet niektórych naszych. Otóż wbrew powyższemu stwierdzam, że deklarację, zawierającą pewne dezyderaty na przyszłość w dziedzinie współpracy pomiędzy obiema Jednotami, uprzednio uzgodnioną ze wszystkimi członkami naszej delegacji i w jej imieniu, odczytałem w związku z punktem porządku dziennego, omawiającym kwestję współpracy delegatów obu Jednot na terenie Rady Kościołów Ewangelickich, zaznaczając, że ten punkt jest jedynie fragmentem pewnej całości, której wyraz dała właśnie moja, a właściwie nasza deklaracja. Po jej odczytaniu p. Prezydent Konsystorza oświadczył, że nie można jej obecnie szczegółowo omawiać, gdyż musi ją uprzednio, jeśli chodzi o Wilno, przedyskutować Kolegjum Kuratorów, że więc w przyszłości może ona stać się podstawą dalszej dyskusji i ew. uchwał. Taki stan rzeczy został coprawda pominięty w projekcie protokułu konferencji, jaki nam przesłało Wilno, ale między innemi dlatego właśnie delegacja nasza projektu tego nie przyjęła i zgłosić musiała swój kontrprojekt. Sądzę, że ten stan rzeczy jest autorowi artykuliku dobrze znany, zanim więc przystąpił z iście młodzieńczym rozmachem i brawurą do prostowania powinien był dobrze i dokładnie zastanowić się, czy ma co prostować, oraz że nie należy do rzeczy przyjemnych stwierdzać, że się prostuje to, co nigdy nie było krzywem. Takie bowiem usilne „prostowanie" budzi niezbyt miłe wrażenie i wywołuje domniemanie, że się to czyni albo dla pewnych, a niezbyt jasnych, celów, albo też dla względów czysto osobistych, a jedno i drugie nie ma nic wspólnego z rzetelnością i rzeczowością.

W dalszym ciągu swego artykuliku Ks. Otton Piasecki dzieli się z czytelnikami swemi zapatrywaniami na możność ewentualnego połączenia się obu Jednot naszych w jeden organizacyjnie Kościół i twierdzi, że ze względu na odmienny ustrój i organizację kościelną trudno jest o tem myśleć, coprawda narazie i w bliższej przyszłości. Zdawałoby się więc, że uważa to za sprawę conajmniej możliwą w dalszej przyszłości, aliści w następnem już zdaniu uzupełnia swe poglądy, bo mówi: „Przeto życzenia Ks. Zaunara są przedwczesne, chyba żeby je traktować jako „pia desideria", które w bardzo dalekiej przyszłości mogą się urzeczywistnić".

W związku z tem stwierdzam, że w pojęciach na ten temat u Ks. Ottona Piaseckiego nastąpiła dosyć znamienna ewolucja, gdyż niezbyt jeszcze dawno był on zdania, że połączenie obu Jednot w jeden Kościół jest nietylko możliwe, ale wręcz konieczne, i to w czasach nie „ad calendas grecas", ale w zgoła bliskiej przyszłości. Nie będę dociekał, co go do tej ewolucji skłoniło, ale mogę stwierdzić, że Ks. Otton Piasecki dosyć łatwo i nawet pochopnie zmienia swoje poglądy zależnie od pewnych względów, które z rzeczowością nie mają zbyt dużo wspólnego. Mogę go też zapewnić, że w swem zdaniu co do połączenia się obu Jednot stoi w dosyć rażącej sprzeczności z osobami, na których, o ile się nie mylę, bardzo mu zależy, a nazywając tę sprawę pobożnem życzeniem mojem myli się podwójnie: bo jest to gorące życzenie każdego dobrego ewangelika-reformowanego, który umie i chce spojrzeć po za obręb własnego tylko swego podwórka, a następnie bo jest to sprawa bardzo realna.

Nie kładę wynurzeń autora artykuliku na karb złej woli, raczej sądzę, że są one wynikiem wyskoku młodzieńczego temperamentu i niewyrobienia autora, które niewątpliwie znikną w miarę dokładniejszego i poważniejszego traktowania spraw, co do których zabiera głos publicznie. Pozwalam też sobie żywić nadzieję, że na przyszłość redakcja „Szlakiem Reformacji" będzie staranniej przeglądała tego rodzaju elaboraty, gdyż zdaje mi się, że nie podnoszą one powagi pisma, ani też nie idą po linji tych wskazań, które są wyłuszczone we wstępnym programowym artykule pierwszego numeru.

KOMUNIKAT
Zjednoczenia chrześcijan ewangelickich w Polsce

Dnia 1 września b. r. przybędzie do Polski delegacja Wszechświatowego Związku Ewangelickiego z Anglji. W skład delegacji wchodzą:

Ks. Biskup Dr. Taylor Smith, b. Naczelny Kapelan Wojsk Angielskich, Ks. J. Chaimers Lyon, prob. Kościoła Św. Trójcy w Londynie, Martyn Gooch, Generalny Sekretarz Wszechświatowego Związku Ewangelickiego.

Delegacja przybywa do Warszawy do Polskiego Zjednoczenia Chrześcijan Ewangelickich i zabawi kilka dni. Pod egidą Polskiego Zjednoczenia delegacja odwiedzi kilka ośrodków Ewangelickich jak Cieszyn, Łódź, Równe Woł., Więcbork i Kołomyję.

Zrzeszenia Ewangelickie, które by chciały wejść w kontakt z delegacją, proszone są, aby skomunikowały się z Hon. Sekretarzem Zjednoczenia Chrześcijan Ewangelickich w Polsce. Adres: Ks. Dr. Martin Price, Warszawa, Marszałkowska 95.

OFIARY

I. Na wydawnictwo „Jednoty"

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

W-ny pan Prof. Tadeusz Miłobędzki — Warszawa — zł. 3.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc **czerwiec** 1936 r. Nabożeństwa rozpoczynają się o godz. **11**·15 **przed poł., o ile nie** jest podana inna godzina.

1.	Niedziela, dn. 7. VI. (N. Trójcy Ś-ej)	Ks. L. Zaunar
2.	Sobota, dn. 13. VI. Przygotowanie do Komunji Ś-ej o godzinie **6** po poł.	Ks. St. Skierski
3.	Niedziela, dn. 14. VI. (1 N. po Trójcy Ś-ej) Nabożeństwo **Synodalne** z Komunją Ś-tą o godz. **10** r.	Ks. St. Skierski
4.	Niedziela, dn. 21. VI. (2 N. Trójcy Ś-ej)	Ks. L. Zaunar
5.	Niedziela, dn. 28. VI. (3 N. po Trójcy Ś-ej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem	Ks. St. Skierski

Zakłady Drukarskie „Stero" Elektoralna 10.